

Zawsze wiedziałem, że dyslokacją służb zajmują się debile, mutanty popromienne, które mimo belek i gwiazdek na pagonach nie potrafią logicznie myśleć. Wyznaczono nas do patrolowania lotniska wzdłuż jego ogrodzenia. Jakieś sześć, siedem dwuosobowych patroli, a przed nami całe hektary do pilnowania. Mój odcinek miał dobry kilometr długości, przy czym znaczna jego część przebiegała przez las albo zarośla. Mieliśmy w szczególności ochraniać urządzenia naprowadzające umieszczone na końcu naszego odcinka. Jeszcze za widoku przeszliśmy się tam i z powrotem, żeby zobaczyć jak to wszystko wygląda i na tym się skończyło. Bo jaki sens ma łażenie w nocy po krzakach z jedną latarką? Przecież fizyczną niemożliwością jest upilnować tak rozległy teren w kilka osób. Stado słoni mogłoby się śmiało koło nas przedrzeć, a my nawet byśmy o tym nie wiedzieli. Dlatego nie przejęliśmy się zbytnio funkcją i całą noc spędziliśmy na rozmowie z sąsiednim patrolem. No, może nie całą, bo gdzieś koło pierwszej podesłali nam nyskę, żebyśmy trochę odpoczęli. Pograliśmy trochę w karty, a potem cięliśmy komara do piątej rano. Zresztą gdzieś koło drugiej pojawiło się wojsko, które też miało za zadanie patrolowanie terenu wokół lotniska. Do jednostki zjechaliśmy dopiero o ósmej rano, zmęczeni, niewyspani i głodni. A tu nas jeszcze wkurwili, bo okazało się, że o dwunastej mamy jechać na stadion zabezpieczyć odlot papieża. Mało nas krew nie zalała, ale co było robić? Zomol jest od tego, żeby jebać. Zdrzemnęliśmy się trochę, zjedli obiad i razem z psami pojechaliśmy na stadion. Wysłali nas na wały od strony Wisłoka i mieliśmy jeszcze z Józką nadzieję, że może chociaż uda nam się zobaczyć papieża, jak będzie wsiadał do helikoptera, bo widok stamtąd był niezły, ale niestety. Przyjechał osobowym wozem i nawet się nie oglądał tylko od razu wsiadł do Bella, tak że z wałów mogliśmy podziwiać jedynie jego plecy.

Nie na darmo twierdziłem, że w ZOMO nigdy nic nie wiadomo. Gdy myśleliśmy, iż wraz z odlotem papieża z Rzeszowa kończy się nasza Koszarówka, przyszedł rozkaz, że cała jednostka ma udać się na zabezpieczenie pobytu papieża w Warszawie, gdzie miał przebywać w sobotę i niedzielę. My jednak mieliśmy wyjechać już we wtorek. Po jaką cholerę? Tego nikt nie wiedział. Mieliśmy z Józką nadzieję, że być może uda się nam pozostać jako przewodnikom psów, ale niestety, psiarnię też uwzględniono. Mieli jechać wszyscy poza dwoma osobami, które miały doglądać psów. Lutak, jako dowódca drużyny, zostawał obligatoryjnie. Na drugie miejsce chciał się wkręcić Barć, ale nie daliśmy się zrobić w chuja i przeprowadziliśmy losowanie w obecności Wujka i wyszło na to, że zostaje Józek. Nie byłem tym zbytnio zachwycony, bo oznaczało to, że przez cały pobyt w Warszawie nie będę miał praktycznie z kim pogadać. Ale z drugiej strony mogłem być pewien, że mój pies nie będzie głodował przez ten tydzień, w przeciwieństwie do innych psów.

Zostałem przydzielony jako dysponent stara, starego, mulastego grata, którego szczytem możliwości było osiągnięcie 60 km/h. Dobrze, że jechaliśmy w kolumnie, ale i tak na prostych odcinkach czoło musiało zwalniać, żeby tył dogonił kolumnę. Nie czułem się zbyt pewnie w roli dowódcy pojazdu. W ogóle zresztą nie czułem się zbyt pewnie jako zawodowy. Ciągłe mi się wydawało, że jestem jeszcze w służbie zasadniczej, że każdy oficer czy też zwykły chorąży to mój wróg. Nie byłem też przyzwyczajony do wydawania rozkazów czy samodzielnego decydowania. Jak by nie było, przez osiemnaście miesięcy myśleli za mnie inni i było mi z tym wygodnie.

Byłem wielce rozczarowany, gdy okazało się, że nie będziemy stacjonować w Warszawie tylko w jed-

nostce wojskowej w Linii koło Góry Kalwarii, prawie pięćdziesiąt kilometrów od stolicy. A gdy zobaczyłem wojskowe namioty ustawione w lesie, to miałem już wszystkiego dość. Na szczęście zakwaterowano nas w koszarach, ale tylko przez przypadek, bo myśleli, że my jesteśmy zawodowe ZOMO z Legnicy, bo dla nich właśnie były przeznaczone miejsca w koszarach. Gdy pomyłka wyszła na jaw, byliśmy już zadowoleni w budynku i Legnica zajęła namioty.

Pierwszy raz byłem na dłużej w jednostce wojskowej i dziękowałem Bogu, że wybrałem to cholerne ZO-MO. Oprócz wspaniałego usytuowania w lesie wszystko było przygnębiające. Łóżka pamiętały chyba pierwszą wojnę światową, zamiast powłoczki na koc – prześcieradło do zawinięcia się, poduszka jak decha, a jedzenie że rzygać się chciało, jak się komuś trafił karaluch w zupie. A raz podali kawałek wysmażonego, tłustego boczku jako sztukę mięsa. Na szczęście można się było dożywić w kantynie albo w sklepie, tuż za murem jednostki, na Trepkowskim osiedlu. Było tam także piwo, a nałogi takie jak Barć nawet i wódkę przyzłatwili, ruską, po czterdzieści tysięcy za flaszkę.

Przez resztę wtorku i całą środę nudziliśmy się jak diabli. Nie było żywcem co robić. Stamtąd nawet na lewiznę nie byłoby gdzie za bardzo iść, nie to co na zomozie, że wsiada się w „7”, pół godziny i jest się w mieście. Dopiero w czwartek po południu pojechaliśmy zobaczyć miejsce naszej służby na trasie przejazdu papieża z lotniska Okęcie, a potem z powrotem na lotnisko. Zostałem przydzielony do nysy Andrzeja Wójcika, z czego byłem zadowolony, bo Andrzej był w porządku. Oprócz mnie w pojeździe jechali jeszcze Żurek, Kokoszka i trzech młodych. Byłem niezmiernie ciekawy, jak wygląda Warszawa, ale za wiele nie zobaczyłem, bo rozlokowano nas już na Żwirki i Wigury 59, to jest niedaleko lotniska. Aspirant z komendy dzielnicowej, który sprawował pieczę nad naszą grupą poinformował nas, że w czasie przejazdu papieża przez nasz odcinek, dwóch ludzi będzie patrolować chodnik przed blokiem, a czterech policjantów będzie pilnować włazów na dach, po jednym na każdej klatce. Rzecz jasna ci na klatkach nic by nie zobaczyli, bo okna klatki schodowej wychodziły na podwórze. Perspektywa nie była zbyt miła, ale jakie mieliśmy wyjście? W końcu byliśmy w policji, a nie w ochronie.

W piątek wysłano nas na służbę do Warszawy. Trochę obawiałem się tej służby, bo stolica to nie Rzeszów, gdzie mówi się do lumpa, żeby spierdalał, a ten czuje jako taki respekt. Mnie przypadła w udziale służba w Ursusie. Dowódcą był Śrubka czyli Waldek Pieniowski, z którym byłem raczej na wojennej stopie, bo kiedyś dociąłem mu przy świadkach i to całkiem nieźle. Na pewno to pamiętał, bo on był przecież sierżantem, a ja zwykłym szeregowcem, choć dla dodania sobie powagi nosiłem belki kaprała. Wiedziałem, że się na mnie zemści i istotnie tak się stało. Sytuacja była taka, że jedna osoba miała jeździć pojazdem razem ze Śrubką. Gdybym był jego kolegą, to jako zawodowy z pewnością wsiadłbym na nysę, ale że darłem z nim koty, wziął więc sobie „kota”. A mnie wysłał w patrol pieszy z młodym „kotem”. Szczerze mówiąc, wolałem to niż jeździć razem z nim i słuchać jak pierdoli bez sensu. Byłem przynajmniej sam sobie panem i mogłem iść gdzie chciałem, a nie tam, gdzie on chce.

Ursus zrobił na mnie nieciekawe wrażenie. Stara dzielnica, stare budownictwo, nigdy bym nie powiedział, że to Warszawa. Na dodatek dzień był zimny, niebo zachmurzone i siąpiło od czasu do czasu. Łaziliśmy naprawdę jak te dwie mendo, bez celu, modląc się, by nie było jakiejś interwencji, bo na obronę mieliśmy trochę gazu i dwie pały, a także numer telefonu do komisariatu, bo radiostacja była, że pożał się boże. Zresztą i tak w komisariacie nie było żadnego pojazdu, bo został oddelegowany na czas wizyty papieskiej. Byliśmy w księgarni, na poczcie, na pączkach, a na koniec obeszliliśmy dzielnicę naokoło. Ludzie patrzyli na nas jak na kosmitów, bo jak powiedział potem jeden facet, dawno tu nie było żadnego patrolu.

Nadszedł wreszcie oczekiwany dzień, czyli sobota. Zdarli nas rano, bo godzinę trzeba było poświęcić na dojazd. Niebo się roz pogodziło, co było nieco budujące. Przed rozpoczęciem służby Przeprowadziliśmy między sobą losowanie, gdzie kto ma pełnić służbę. Oczywiście wylosowałem klatkę schodową. Kupiłem sobie picie (suchy prowiant dostaliśmy przed wyjazdem), krzyżówki i usiadłem na ostatnim piętrze trzeciej klatki bloku 59 przy Żwirki i Wigury. Ale i tak nic nie straciłem, bo papież jechał zakrytym samochodem i ludzie byli trochę rozczerowani. Za to nazajutrz, gdy papież odlatywał do Rzymu, miałem szczęście, bo wylosowałem chodnik, a tego właśnie dnia papież jechał swoim papa mobile i choć przez moment mogłem go zobaczyć z bliska, jak gdyby w nagrodę za cały ten tydzień spędzony na służbie.

- A co tam słyszeć na jednostce? - zapytał Józka w poniedziałek, tuż po powrocie z Warszawy. Zdążyłem już zdać mu relację z całego pobytu i podzielić się moimi wrażeniami i odczuciami.

- Nudziłem się, bo na służby nie jeździłem. Z Lutakiem tak się ustawiłem, że raz on przyjeżdżał dać psom żarcie, a raz ja. Posprzątałem w kojcach, bo tak capiało, że nie można było nawet przejść. No i najważniejsze: zapisałem nas na podoficerkę.

- Tak? Od kiedy?

- Ostasz mówił, że zacznie się gdzieś po dwudziestym. Bo Ostasz będzie kierownikiem tego całego kursu.

- I to rzeczywiście będzie podoficerka?

- To znaczy nie, to będzie taki kurs zerowy, tyle że trzymiesięczny, bo to dla tych, co byli w BCP.

- I to będzie skoszarowane?

- Od lipca, bo na razie nie mają miejsca. Dopiero muszą skończyć ten nowy budynek i przenieść tam trzecią i speców.

- Ja pierdolę! Całe wakacje w tym syfie! Kurwa mać! – zakląłem, bo załamałem się kompletnie w tym momencie. Trochę inaczej zaplanowałem sobie te letnie miesiące; bez przepustek, koszarowego łóżka i nauki. Znów miałbym stać się niewolnikiem, być zależnym od humorów głupiego Ostasza, starego komunisty?

- Coś się tak podłamał? Myślałeś, że to będzie na jesień?

- Bo tak ciągle mówili, że jak się skończy ten kurs, który teraz trwa, to pójdziemy my, czyli gdzieś końcem sierpnia. A tu teraz całe lato i to jeszcze skoszarowani.

- Pewnie już zaplanowałeś jakieś wyjazdy w Polskę?

- No jasne, a tu pojedę, ale w maliny. Chyba, żeby załatwić jakieś przepustki na sobotę i niedzielę.

- W sobotę też są zajęcia.

- O słodki chuju!... I po jaką cholerę siedzieć i uczyć się tego samego, co na unitarce? Przecież to można ocipieć. To na unitarce mało mnie szlag nie trafił, a co dopiero teraz? Naprawdę, przeraża mnie to

wszystko.

- Co się martwisz, tyle żeśmy wytrzymali, to jeszcze te trzy miesiące przesiedzimy.

- Ja wiem o tym, tylko że najgorsze jest, że to akurat najcieplejsze miesiące. Ale potem będę się martwił. Na razie mam tydzień urlopu.

- Udało się wam z tym wolnym.

- Łaski nikt nie robi. Trzy dni dał obligatoryjnie Bunio, a trzy dni to te, co nam przepadły nie z naszej winy. Co mnie interesuje, że akurat wysłali nas na papieża?

- To kiedy wracasz?

- Dopiero w poniedziałek na popołudniówkę.

Korzystając z tyłu wolnych dni wybrałem się na weekend do Wrocławia, do Anki, którą poznałem przez Imago i która wydała mi się być miłą i sympatyczną dziewczyną. Nie wiedziałem, jak wygląda, bo nie posiadałem jej zdjęcia, była więc to typowa randka w ciemno. Marzyłem o tym, że może będzie to dziewczyna, w której zakocham się od pierwszego wejrzenia, tak jak w Kaśce i że zawładnie ona moim sercem. Trochę się, niestety, rozczarowałem, bo Anka nie była zupełnie w moim typie i wiedziałem, że może być moją najlepszą przyjaciółką, ale nie dziewczyną. Wprawdzie nie żałowałem tych dwóch miłe spędzonych dni, ale traktowałem tą wizytę jako jedynie przyjacielską, pozbawioną głębszych uczuć.

Ciągle dręczyło mnie to trzymiesięczne szkolenie i to do tego stopnia, że nie mogłem znaleźć sobie miejsca.

- Tak się czuję, jak gdybym miał iść z powrotem do wojska – powiedziałem pewnego popołudnia do Agnieszki, która powróciła niedawno z egzaminów z Krakowa.

- Czym się, Ziba, łamiesz? Dasz sobie radę.

- Wiem, że dam sobie radę, ale nie mogę przeżalować tych wakacji spędzonych w jednostce. Gdyby to jeszcze było na jesieni albo w zimie to prędej, bo taka nieciekawa pora roku, ale teraz? Co innego chodzić na służby na miasto, a co innego siedzieć i słuchać tego gładzenia i jeszcze się uczyć. A na koniec mają być jakieś egzaminy. Podobno kto nie zda, to mają go zwolnić.

- Nie przejmuj się egzaminami, przecież głupi nie jesteś, nie?

- No pewnie, że nie. Są prostsi ode mnie, co nie znaczy, że uważam się za wielkiego inteligenta. Ale te egzaminy to będą pewnie na ogólnie przyjętej zasadzie, że kto polewa, ten jedzie dalej. Chociaż teraz to nie wiadomo, bo chętnych do policji niby jest dużo.

- Słuchaj, a byłeś w tym Wrocławiu?

- Byłem.

- No i co?
- Eee... - skrzywiłem się nieznacznie. – Chyba nic z tego nie będzie.
- Czemu?
- Szczerze powiedziawszy, to po prostu nie podoba mi się. Owszem, jest fajna, inteligentna, miła, ale jakoś nie pociąga mnie fizycznie. No a ja nie mógłbym tak. Wprawdzie w nocy wszystkie koty są czarne, ale to można robić także w dzień...
- To mówisz, że nic z tego?
- Niestety. Na siłę nic się nie da zrobić. Już tak kiedyś próbowałem, jak jeszcze byłem młody i głupi, ale szybko się przekonałem, że to beznadziejna metoda. Poza tym ona też jakoś specjalnie nie dała mi odczuć, że zależy jej na bliższej znajomości.
- Może jest nieśmiała, a poza tym dziewczynie to tak nie wypada od razu.
- Ja wcale nie twierdzę, że musi od razu włączyć mi do łóżka. Ona po prostu traktuje mnie jak przyjaciela i nic poza tym.
- A co z Magdą?
- Byłem u niej nie tak dawno na budzie. Złożyłem jej życzenia urodzinowe, ale ja wiem...
- Co ci zależy, spróbuj się koło niej zakręcić.
- Wiesz, tak szczerze mówiąc, to chciałbym, a boję się jej. Naprawdę, nie wiem dlaczego? Poza tym nie bardzo jest jak ją podejść. Ciągłe gdzieś wychodzi, ciągle jej nie ma. Myślałem nawet, żeby ją zaprosić na moje imieniny, ale akurat ma wesele, a potem ma jechać do Francji do ciotki. Sama widzisz, że los jakoś nie jest mi sprzymierzeńcem.
- Będziesz robił imieniny?
- Sam jeszcze nie wiem. Raz mam ochotę, raz nie. Wszystko przez to cholerne szkolenie.
- Ale zrób imprezę, Ziba, nie sęć się! U ciebie zawsze są takie świetne imprezy. Zawsze się u ciebie upijam.
- Czym?
- Serio! Zawsze mam taki humor, tak mi szumi w głowie, że bajka.
- Ja wiem... może by i zrobił te imieniny. Do soboty jest jeszcze czas, forsz mam... - przez chwilę wahałem się jeszcze, ale widząc rozradowaną twarz Agnieszki zdecydowałem w końcu – dobra, będzie impreza!
- Ale ekstra! Zadzwoń jeszcze dzisiaj do Mariusza, żeby przyjechał. Tylko, oj cholera, on ma teraz sesję i pewnie nie przyjedzie. Ale nie martw się. Ja i tak przyjdę.

- Pewnie, co się będziesz szczypać? Niech siedzi w tej Warszawie i niech ryje, kujon jeden.

- Masz rację, niech siedzi. On nie wie, co straci, jak nie przyjedzie.

Imieniny udały się wyśmienicie, choć nie wszyscy zaproszeni goście się pojawili. Mariusz nie przyjechał, choć pewnie skręcało go w tej Warszawie z zazdrości o Agnieszkę. Ale musiał mieć naprawdę ciężkie dni. Agnieszka wcale się przez to gorzej nie bawiła. Została do końca i odprowadziłem ją rankiem do domu. Słońce właśnie wzeszło, bo było po czwartej. Oboje byliśmy wstawieni i świetnie nam się szło na piechotę z Dąbrowskiego na Podchorążych.

Dzięki tej imprezie choć na moment zapomniałem o nurtujących mnie problemach, które ożyły na nowo w poniedziałek, gdy poszedłem na swoją ostatnią, przed rozpoczęciem szkolenia, służbę. Jakoś nie widziałem siebie chodzącego przez trzy miesiące na wykłady i uczącego się. Odczuwałem jakiś wstręt do nauki, szczególnie takiej wymuszonej. We wtorek i środę straciłem tyle nerwów, że nawet na maturze nie byłem tak zestresowany. Miałem ogromny apetyt, wciąż bolał mnie żołądek i to bynajmniej nie z głodu, a z nerwów. Gdy siedziałem na wykładach we środę, to o mało mnie szlag nie trafił. Miałem ochotę wyjść na środek sali i krzyknąć jak opętany, wyrzucić z siebie ten irracjonalny lęk i strach. Sam już nie wiedziałem, co mam ze sobą zrobić. Wtedy to zrodziła się w moim umyśle idea, żeby zmienić sobie pracę i wrócić tam, gdzie czułem się dobrze, na pocztę. Wprawdzie zwolniłem się stamtąd w maju, ale co mi szkodziło iść i zapytać o możliwość ponownego przyjęcia? Jeszcze tego samego dnia poszedłem do spowiedzi, co bardzo mnie uspokoiło wewnętrznie i dodało wiary, że mój szalony pomysł ma szansę powodzenia. Rzeczywiście, kiedy nazajutrz poszedłem do kadr w moim dawnym miejscu pracy, spotkałem się z niemal entuzjastycznym przyjęciem. Mimo, iż dostałem jedynie formularze do wypełnienia, to znowu poczułem się listonoszem. I choć cała procedura nie była jeszcze zakończona, napisałem od razu raport z prośbą o zwolnienie mnie z pracy w policji. Wszyscy byli zaskoczeni moją decyzją poczynawszy od Józka, poprzez tych dupków z Niebylca, Wujka, a na Rudym skończywszy. Jako powód podałem, że nie odpowiada mi system szkolenia, co było w sumie zgodne z prawdą. Józek był najbardziej zmartwiony, czemu się wcale nie dziwiłem. Został sam na placu boju, przeciwko całej tej niebyleckiej bandzie. Ale wiedziałem, że da sobie radę i bez mojej pomocy, choć zawsze to lepiej mieć sojusznika.

- Serio zwalniasz się z policji? – zapytał Mariusz. Siedzieliśmy na imprezie u Murjasa, która nie zrobiła na mnie szczególnego wrażenia, być może ze względu na jego trzech kumpli, którzy przyszli nieproszeni i dość szybko się urzęnęli.

- Tak, ma już dość tego wszystkiego.

- To co ci tak nagle odbiło?

- Wiesz, w sumie to głównie rozchodzi się o to całe szkolenie. Po prostu nie wytrzymałbym tego nerwowo, szlag by mnie trafił. Poza tym tam nic nie można zaplanować, bo nikt nic nie wie i nikt ci nic nie powie. Najlepszy przykładem jest to szkolenie, które miało być na jesień. Albo z tym skoszarowaniem. Najpierw miało być, a teraz się dowiedziałem, że nie będzie, bo nie ma miejsca.

- To może jeszcze zdecydujesz się zostać?

- Nie, Mariusz, ja już zdecydowałem. Wprawdzie była to taka nagła i niespodziewana decyzja, ale takie są podobno najlepsze. Zresztą na pocztę prawie już wszystko załatwiłem.
- I co, przyjęli cię bez niczego?
- No, nawet sam się zdziwiłem, bo przecież w maju się zwolniłem, a w czerwcu przyszedłem zatrudnić się ponownie. Szkoda tylko, że lipiec będę musiał jeszcze przesiedzieć w policji.
- Nie chcą cię puścić?
- To znaczy może by i puścili, ale musiałbym oddać pensję, z której za wiele już mi nie zostało. A na pocztę zatrudniliby mnie najchętniej od zaraz.
- A twój stary co na to?
- Najpierw był ucieszony, że się zwalniam, a potem zaczął truć, że poczta jest bez przyszłości, że teraz mało listów przychodzi, że mogą mnie zwolnić jak będą redukować etaty. Takie smęty. Jemu to nigdy nie można dogodzić. Jak poszedłem do ZOMO, to o mało mnie nie zabił, a teraz chciałby, żebym został, bo to pewna praca. A co on wie o tej pracy? To jest taka walka z czasem i to mnie najbardziej wkurza. Łazi się i patrzy na zegarek, kiedy będzie koniec służby.
- A jak tam te sprawy?
- Jakie sprawy? A, te! To znaczy stosunki damsko – męskie?
- Właśnie to miałem na myśli.
- Na razie poprawne, to znaczy nic się nie dzieje, choć mam w planie parę spotkań. Ale wszystko raczej daleko, a ja zrobiłem się ostatnio bardziej wygodny.
- Mówisz, że teraz nie jeździłbyś już tak daleko, jak do Kaśki?
- Chyba nie. No, jedynie gdyby była to naprawdę wielka miłość, a dziewczyna ładna i warta grzechu.
- A Kaśka nie pisze do ciebie?
- Coś ty! Na pewno już dawno o mnie zapomniała. A, srał ją pies. Znajdę sobie kogoś na miejscu. Teraz bilety drogie.
- Pewnie, masz rację, najlepiej to mieć pod ręką, można wyskoczyć kiedy się chce, nie trzeba tłuc się w pociągu. Ja też jak się teraz ojeżdżę tymi pociągami, pukaesami z tej Warszawy, to mam już czasem dość.
- Wiesz, Misiu, ty nie bądź taki zazdrosny o mnie, bo wiesz, ja czasem zaglądam do Agnieszki zobaczyć, jak jej leci i czasem gdzieś razem idziemy, do kina albo na lody, ale to tylko wyłącznie jak kumpel z kumpelą.
- Nie ma sprawy, Ziba, ja właśnie chciałbym, ci podziękować, że masz oko na Agnieszkę i że ją trochę rozerwiesz, bo ja nie zawsze mogę przyjechać, a jej tu się samej nudzi. Tylko jak się dowiem, że coś jej zrobiłeś, to ci maskę strzaskam – Mariusz pogroził mi żartobliwie palcem.

- E, o to możesz być spokojny. Co innego, gdybym nazywał się na przykład Murjas albo Wiśniewski.
- Tak, tak, oni to są raczej tacy niepewni. A wiesz, że Poldek zrobił Agnieszce awanturę?
- Coś ty? Co mu znowu odbiło?
- Bo widział was wtedy, jak odprowadzałeś Agnieszkę po twoich imieninach. Potem ją gdzieś spotkał i zaczęli gadać o tym i owym. No i w końcu Poldek zaczął ją tak opieprzać na żarty, że chodzi na imprezy, na dyskoteki, a ja siedzę w Warszawie. A Agnieszka też w żartach, ale powaga na twarzy, że co go to interesuje, że lepiej niech pilnuje swojej Ewci. A Poldek jak się zburzył, jeszcze chwila, a naprawdę by się pokłócili.
- Słyszałem, że ta Ewcia to takie cuda, że hej.
- Podobno, ja jej tam nie widziałem, tylko Agnieszka ją widziała. A Poldek jest zazdrosny, bo on kiedyś podkochiwał się w Agnieszce.
- I teraz pewno żal mu dupę ściska, a serce boleść czuje, tak jak Maślanie.
- A co tam Maślana nawywijał?
- Jak był u mnie na imieninach, to normalnie ciągle kręcił się ciągle koło Agnieszki, bajerował, żartował i żałował, że wtedy w Wysowej, od razu się nią nie zainteresował, tylko wziął się za Lidzię.
- On niech sobie lepiej uważa, bo jeszcze mu maskę wyklepię na wyjściowo.
- Ja mu to wprost powiedziałem, żeby sobie nawet dupy nie zawracał, bo teraz to już za późno. Jak miał okazję, to spierdolił sprawę, a teraz to niech sobie konia zwali i idzie spać.
- I niech sobie jeszcze pierdolnie wesołego baranka o drut kolczasty. Może mu przejdą głupie myśli.
- Wątpię. On to zawsze był głupi i głupim zostanie.

Przez pierwsze dziesięć dni lipca byłem jak wolny elektron. Na szkolenie nie chodziłem, bo i tak się zwalniałem, po co więc było tracić czas? Na służbę nie jeździłem, bo jeszcze nie wszyscy w sztabie zastrybili, że nie chodzę na szkolenie i trzeba mnie zaplanować do służby. Przyjeżdżałem do jednostki co drugi dzień zobaczyć, co się dzieje. Właściwie czułem się już listonoszem i coraz częściej myślałem o nowej pracy. Międzyczasie okazało się, że szkolenie ma trwać półtora miesiąca, a nie trzy, ale było mi już to obojętne. Wszyscy koledzy bardzo się dziwili, dlaczego nagle podjąłem taką decyzję? Nie mogło im się pomieścić w głowie, że zmieniam pracę na gorzej płatną. Dla nich liczył się przede wszystkim pieniądź, a potem dopiero była reszta. Nie brali pod uwagę tego, że praca w cywilu daje komfort psychiczny, że człowiek nie żyje pod presją, że musi być na każde zawołanie. Obojętne im było także to, że dwie do trzech godzin muszą poświęcić na dojazd do Zaczernia i z powrotem. Niby Niebylec nie leży na końcu świata, ale takie są realia. Wprawdzie coś tam przebąkiwali o przeniesieniu gdzieś bliżej, ale na gadaniu się kończyło. Jedynie Józek potrafił zrozumieć, dlaczego zdecydowałem się odejść z policji, choć i dla niego nie wszystko było do końca jasne. Ale z drugiej strony sam stwierdził, że gdyby znalazł gdzieś inną, równie dobrze płatną pracę, to też by się zwolnił bez chwili wahania.

Gdzieś dwunastego zaplanowali mnie na służbę, a ja w tym dniu zrobiłem sobie wolne. Później Majchrowski coś tam miauczał, ale dałem mu flaszkę, bo przecież o to chodziło i za karę wlepił mi dodatkową służbę. Dzięki temu zostałem pomocnikiem oficera dyżurnego od 19⁰⁰ w sobotę do 15⁰⁰ w niedzielę. Z tym, że od siódmej rano w niedzielę byłem sam i to ja rządziłem jednostką. Prawdę mówiąc, miałem trochę cykora, bo akurat pojawili się topielcy w Mielcu i od rana wydzwaniali z wojewódzkiej, żeby ściągnąć speców, żeby pojechali szukać ciał. Nie było to proste skompletować grupę w niedzielę rano, ale z pomocą Jaśka Gawła, kierowcy dyżurnego i Worka, który po służbie pojechał do domu i przez telefon instruował mnie, co mam robić, wysłałem spec grupę do Mielca. Przez te osiem godzin mogłem się przekonać, że można się trochę napocić siedząc na dyżurce, szczególnie, gdy nie ma się doświadczenia. Potem byłem jeszcze na dwóch czy trzech służbach, aż przerzuciłem się na symulancję. W końcu nie trudno udać, że boli brzuch, a biegunki lekarz i tak nie sprawdzi. Na koniec zdałem te wszystkie mundurki, płaszcze, kurtki i inne kłopoty do magazynu. Oczywiście z wydatną pomocą Józka. Poczułem się ogromnie szczęśliwy, gdy oddałem obiegiówkę i gdy pożegnałem się z fomozą ostatniego dnia lipca.

Całkiem nieoczekiwanie otrzymałem odpowiedzi na moje ogłoszenie, które zamieściłem w „TIM”, w jakimś nagłym przypływie desperacji spowodowanej samotnością. Listów nie było dużo, ale szczególnie zainteresował mnie jeden, od Agnieszki z Leżajska. Odpisałem bez wahania, bo mimo tylu różnych znajomości czułem się wciąż bardzo samotny. Cieszyłem się z tego, że mam przyjaciółki, do których mogę napisać albo mogę się z nimi spotkać, ale były to tylko przyjaciółki. W dodatku wszystkie mieszkały daleko. A ja potrzebowałem kogoś na miejscu, a jeśli nie to przynajmniej blisko. Liczyłem na to, że może przypadniemy sobie z Agnieszką do gustu.

Powrót do pracy, na stare śmieci, odprężył mnie psychicznie. Znowu poczułem się panem własnego losu, w pełni samodzielny i niezależny. Paru rzeczy zapomniałem, kilka uległo zmianie, ale Adam dość szybko przyuczył mnie do mojej roli. Nie miałem na razie stałego rejonu, co trochę mnie martwiło, gdyż oznaczało mniejsze zyski z „końcówek” czyli z tego, co dawali ludzie, gdy wypłacałem renty i emerytury. Chodziłem raz tu, raz tam, ale dzięki temu poznałem kilka rejonów. Dość szybko wyrobiłem sobie dobrą opinię u obu kontroli, czyli kierowniczek zmian. Adam też pogadał z nimi jak trzeba, co nie było bez znaczenia, gdyż dzięki temu nie patrzono mi na ręce i nie kontrolowano na każdym kroku.

Agnieszka przysłała mi swoje zdjęcie, na którym wyglądała całkiem, całkiem... Najbardziej bałem się pierwszego spotkania, tej konfrontacji w cztery oczy, od której tak wiele zależy. Na szczęście konfrontacja wypadła pozytywnie. Byłem wprost zauroczony Agnieszką i bardzo, bardzo szczęśliwy. Kiedy dostałem od niej list, w którym wyrażała ochotę na następne spotkanie. Czułem, że w tym momencie zaświeciła się moja gwiazdka szczęścia, na którą tyle czekałem.

KONIEC

Rzeszów, 07.07.1991 – 02.01.1992

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

jelcz392, dodano 29.04.2022 17:12

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.